

**DOSTAWKA****Paweł Głowacki****Schody bez słów****„Marceau nadaje ciężar powietrzu”****JAN KOTT**

**P**owietrze jest na powrót lekkie. Marcel Marceau zmarł. Normalna rzecz. Przy każdej śmierci odwieczna metafora trupiej marszrutu łatwo wchodzi w życie – nad każdym ostatecznie nieruchomym ciałem stary jak umieranie obraz podróży bez powrotu każe żalobnikom mruczeć: *Odszedł na zawsze...* Nie rusza się, a poszedł? Tak. Wierny nasz oksymoron funeralny nie opuszcza nas w potrzebie. Normalne to, ale i nad mało którą śmiercią obraz ostatniej, niewidzialnej marszrutu – tyje, realnie, dojmująco traci na metaforyczności.

Zmarł Marceau. Odszedł mim, co stworzył legendarną postać Bipa – półpirotta, półklauna – jedną wielką żalobność. Odszedł Bip, co tylko szedł. W pasiastej koszulini, z czerwonym kwiatem w kapelutku, ze łzami z czarnej szminki na białej, trupio upudrowanej twarzy, nieodwołalnie samotny – z grubszą pół wieku na wszystkich scenach globu uparcie szedł, nie ruszając się z miejsca.

W swych mimodramach – w „Młodości, dojrzałości, starości, śmierci”, w „Łowcy motyli”, w „Fabrykancie masek”, w „Śmierci przed świtem”, w „Klatce”, w gogolowskim „Płaszczu” wreszcie – wędrował powietrzem, mgieniem przed pierwszym krokiem

ciężar powietrzu nadając rękami, stopami i twarzą, która papuzią plastycznością zapewne strasznie drażniła nieskończoność. Nabijał sobie guzy na powietrzu utuczonym we własnych palcach. Ocierał się o przeźrocyste kamienie. Przytulał koty, co na amen przesadziły z dyskrecją. Okiem chłonał wargi kobiety sekretnej jak nieudana mgła... Owszem, nie zawsze było tak słodko. Przychodziły chwile, kiedy trzeba było dźwignąć niewidzialne toboły. Straszne chwile! Ludzie siedzący na widowni pewnie by pomogli, ale jak tu pomóc? Jak na scenę wbiec i ramieniem toboły podeprzeć, skoro oko wykol, a nie dostrzeżesz, gdzie krawędź tobołów i z której strony ratować trzeba?

Szedł tak. Przez pół wieku szedł samotnie, bez niczyjej pomocy, ja zaś dziś, już po jego śmierci, czynię, co zawsze czyniłem. Sam siebie pytam, na czym właściwie polegał dojmujący sekret tego teatru gestów przeciw najbanalniejszych pod słońcem. No, na czym? Nie ruszając się z miejsca – boleśnie wrzuszający Bip szedł po niewidzialnych schodach w górę bądź w dół. Stopami, twarzą niepokojącą nieskończoność, gumową szycją – z powietrza tworzył motyla, za którym w pościg ruszał, zachwycając nie ruszając się z miejsca. Tak było. I co z tego? Czy schody sugerowane nam stopami i motyl insynuowany szycją – to rzeczywiście są teatralne cuda?

Tak – cuda. W zdaniu, które postawiłem jako motto, w czterech słowach, co są chyba

najznakomitszą polską frazą krytyczną minionego wieku, Kott odsłonił sedno teatru. Marceau nadawał ciężar powietrzu. Nie inaczej. Tyle że my, widzowie, nadawaliśmy utuczony przezroczyści całą resztę. Detalicznie mówiąc – każdy z nas marzył na własną rękę. Na rękę tylko swojej wyobraźni.

Marceau palcami, stopami, twarzą nadawał powietrzu ciężar – tylko w marzeniach, w pamięci tych, co patrzyli na jego sceniczne lepidła. I jak ze schodami – tak ze wszystkim. Stopni, po których Bip schodził lub wychodził, było mrowie. Dla każdego, który patrzył, były to intymne schody, prywatne. Ot, fizyka samotnej opowieści, którą na kanwie niewidzialnych schodów Bipa snuł sobie samemu każdy z osobna. Kott pisał, że w powietrznych wędrowniach Marceau tkwiły: „wszystkie schody świata”. Wszystkie – twoje też.

Nie znam mocniej poruszającej poetyki teatralnej. Nie piętnować widzów swą wizją świata, nieomylnością też własnych, rewolucyjnością interpretacji, odezw, plakatów, ulotek. Być taktownym. Nie katować ludzi nieomylnością znaków scenicznych. Nie zmuszać, by łazili po ideologicznie zadekretowanych stopniach. Pozwolić, by każdy szedł po schodach tylko własnych – sobie opowiedzianych na kanwie tamtych, powietrznych, tańcem stóp jedynie zasugerowanych. To wszystkim.

Zmarł Marceau. Całe życie chodził w miejscu po przeźroczyściej ścieżkach, byś ty opowiedział sobie drogę własną. Teatralny szepot doprowadził do doskonałości. I odszedł. Ruszył niewidzialny po schodach niewidzialnych. Została tępa racjonalność. Teatr beknął jednoznacznych – powietrze na powrót lekkie. Trywialnie lekkie.

**MÓJ DZIENNICZEK POLSKI****Andrzej Sikorowski****Niedziela, 23 września****Od** najdawniejszych czasów człowiek lubił poprawiać sobie samopoczucie, polepszać ogład otoczenia, czyniąc to przy pomocy przeróżnych środków. A to coś wachał, a to wdychał jakiś dym, coś przegrzyzał, czymś zapijał. Owa skłonność dotyka po dziś dzień wszystkie niemal społeczności na wszystkich szczeblach. Alkoholu na przykład używają robole i politycy w jednakowym stopniu – może jedynie różnej jakości (chodzi o cenę). Kwestia tylko w tym, że opilstwo tych pierwszych nikogo specjalnie nie dotyczy (za wyjątkiem nieszczęśliwych z tego powodu rodzin), gdy tych drugich śledzą media i opinia publiczna gotowe natychmiast zareagować potępieniem. I słusznie. Jesteś bracie osobą publiczną, to pilnuj się sto razy bardziej niż anonimowy obywatel. Zatem nie usprawiedliwiam wpadki byłego prezydenta RP, bo dał plamę. I nie tłumaczy go fakt podobnych incydentów z udziałem Jelcy – nikt nad Odrą i Wisłą nie liczy na to, że krzywy uśmiech, luźne zachowanie, słowa bardziej poufale niż przystoi, zrobią na ogóle rodaków inne wrażenie niż to, które zazwyczaj kwitujemy po błaźliwym wrzuceniu ramion. – No i co się stało – zapyta większość wyborców.

– Wszedł między wrony i musiał przyjąć ich reguły gry.

To prawda. Wszystkie moje dotychczasowe wizyty za wschodnią granicą to nie były przelewki. Znaczący były – przelewano z butelek do kieliszków lub szklanek. Abstynenta nie usprawiedliwiała nic poza koniecznością prowadzenia samochodu, która w przypadku Aleksandra K. nie zachodzi. Próby wymawiania się złym stanem zdrowia wzbudzały racjonalne zapewnienia, że toast natychmiast usunie wszelkie dolegliwości. Ale do rzeczy. W przypadku pijących mężów stanu zachodzi inne, tym razem prawdziwe już niebezpieczeństwo. Wykład uniwersytecki, składanie kwiatów przy pomnikach – w takich razach stan upojenia nie przynosi żadnych konsekwencji. Gorzej, gdy na bani podpisuje się istotne dokumenty, od których często zależy byt innych ludzi. Lektura relacji ze spotkań wielkiej trójki, zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej, to przerażające świadectwo podejmowania decyzji o losach świata po wielu, wielu kolejkach. Churchill ze szklanką whisky niemal się nie rozstawał, Stalin gustował w gruzińskim winie, ale perwersyjną niemal przyjemność sprawiało mu upijanie swoich urzędników oraz zagranicznych gości. Ile „pijanych” międzynarodowych umów funkcjonuje do dziś? Tego pewnie nigdy się nie dowiemy.

Siedzę w głębokim skórzanym fotelu, nie pamiętam ile kosztował, ale sporo. Sącę czerwone wino (butelka prawie 30 złotych), nie pałę (gdybym palił to pewnie cygaro

za kolejne 30) obok leży pies rasy bokser (za szczenię z rodowodem trzeba dać z półtora tysiąca). Piszę piórem wattermann (przynajmniej parę stówek) otrzymanym w prezencie przy okazji jakiegoś recitalu od wysoko postawionego biznesmena. To już załatuje przynależnością do oligarchii, a także korupcją, zatem mam się na baczności – wstaję codziennie wcześniej rano, by dokonać starannej toalety i ubrać się po ludzku na wypadek wizyty służb specjalnych i telewizyjnych kamer. Trzeba przecież jakoś wyglądać choć przez moment, zanim zapakują do samochodu i odwieżą Bóg wie gdzie. Komputera nie używam – to domena żony i moje prawdziwe utrapienie. Jeśli ją przekabacili, to mogła pod-

rzucić mi jakiś kompromitujący pasztecik.

Żyję w demokratycznym państwie strachu. Wiem, że tak łatwiej rządzić – trzymając wszystkich w szachu, posiadając na każdego haka. Ale czy o taką Polskę nam chodziło? Czy marzyła mi się chwila, gdy w telewizyjnym bądź radiowym bufecie będę świadkiem ściszenia głosu i rozglądania się wokół podczas opowiadania dowcipu? Czy głośniał na Polskę odzianą w szkolne mundurki, wtłoczoną w wyznaniowe ramki? Otóż nie. I dlatego boli mnie konieczność wybierania między nawalonym Europejczykiem i trzeźwym jak gwizdek zakompleksionym przedstawicielem ciemnogrodu. A może jest jeszcze jakaś inna opcja? Szukam.

**DZIENNIK Henryka Sawki**

Korolow uzmysłowił sobie, że wysłanie prostego, małego satelity i tak będzie odebrane jak niezwykle sukces Związku Radzieckiego, który zawczasu ogłosił przeprowadzenie takiego eksperymentu w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Dlatego wyniesienie skomplikowanego sputnika odłożył na później. Jego projekt zaaprobowano. Pierwszego, niewielkiego, kulistego sztucznego satelity Ziemi specjaliści biura konstrukcyjnego przygotowali w miesiąc. Polecał. Nadawał pierwsze sygnały z orbity. Zadzawił cały świat. Upokorzył Amerykę, w której przygotowania do pierwszych kosmicznych startów postępowały niemrawo i przy ciągłym niedostatku funduszy z powodu nieświadomości elit politycznych USA co do niezwykłego propagandowego znaczenia tego pierwszego kosmicznego startu.

Pracowników biura konstrukcyjnego Korolowa puszczono na długo odkładane urlopy. Korolow swoim dwóm zastępcom – W. Miszynowi i L. Woskriesieńskiemu załatwił skierowania na wczasy do Soczi, do dący ówczesnego premiera ZSRR Nikołaja Bułganina. Ich wypoczynek nie trwał długo, nawet nie zdążyli przyzwyczaić się do czarnomorskiego klimatu. Piątego dnia w dacy odezwał się dzwonek telefonu rządowego „wu-cze”:

– *Natychmiast wylatujcie – wzywano ich wszystkich do Moskwy, do biura konstrukcyjnego. – Dostaliśmy zadanie przygotowania nowego sputnika.*

Spakowali się szybko i polecili do Moskwy. Co się stało? Skąd taki pośpiech? Okazało się, że Chruszczowowi spodobał się polityczny efekt wyniesienia w kosmos pierwszego sputnika. Nie spodziewano się aż takiego odzewu, takiego aplauzu na świecie. Chruszczow polecił jak najprędzej wykonać drugiego sztucznego satelity. Sugerowano, by zdążyć ze startem do początku listopada – na 40. rocznicę rewolucji październikowej. Entuzjastą tego zamierzenia był minister przemysłu obronnego ZSRR D.F. Ustinow, który kładł nacisk na upiększanie przeróżnych rocznic, świąt, kolejnych zjazdów partii błyskotliwymi osiągnięciami w jego resorcie.

Sputnik 2 z psem doświadczalnym Łajką na pokładzie wystartował 3 listopada 1957 roku, dzięki czemu obchody 40. rocznicy zwycięstwa socjalizmu zyskały dodatkowy blask.

W kwietniu 1958 roku miał być wyniesiony na orbitę ciężki statek kosmiczny Obiekt D, ale półtorej minuty od startu rakiety nośna eksplodowała. Zamierzano przygotować do startu następny tak ciężki obiekt, jednak okazało się, że nie działał magnetofon należący do aparatury badawczej obiektu i Korolow postanowił odłożyć start, by naprawić wadliwy element sputnika. Zadzwoił do niego Chruszczow i wymusił jak najszybsze wyniesienie satelity na orbitę, by zademonstrować nowy radziecki sukces, co miało wspomóc szanse Włoskiej Partii Komunistycznej w wyborach we Włoszech. Chruszczow realizował doktrynę polityczną rozszerzania socjalizmu na kraje, w których komuniści, jak we Włoszech w tamtym czasie, mieli znaczący wpływ. Start Sputnika-3 odbył się więc przed włoskimi wyborami, 15 maja 1958 roku. I chociaż w kręgach naukowych zwracał uwagę fakt, że miał masę aż 1316 kg, to nie wywarło to spodziewanego wrażenia na włoskich wyborcach.

W takim trybie powstawały projekty wielu radzieckich startów kosmicznych. Później na użytek oficjalny obowiązywała wersja, według której te i niektóre inne przedsięwzięcia radzieckiej kosmonautyki, w rzeczywistości organizowane doraznie, dla celów propagandowych, były przeprowadzane jakoby zgodnie z długofalowym programem badania przestrzeni kosmicznej.

Już w czasach Chruszczowa, a więc właściwie od początku radzieckiego programu kosmicznego, cele polityczne i propagandowe, prestiżowe, przesłaniały czysto naukowe. Władze partyjne i państwowe wywierały na kadrę specjalistów techniki kosmicznej liczne naciski. Przyspieszyć, zadążyć, dognać, przegonić Amerykanów – tego ciągle od nich żądano.

*Był niepozorny. Mały. Nie robił na orbicie niczego nadzwyczajnego, tylko nadawał cichutkie sygnały: biip, biip, biip, biip... Ale był pierwszy! Radziecki! Efekt propagandowy – oszalamiający.*

zauważony. Przygoda Leszka nie zostanie jednak bez konsekwencji: podkreśli rolę „golego oka” jako najlepszego instrumentu optycznego. Tak właśnie Kazimierz Korczyński dokona swego największego odkrycia: na nocnym niebie gołym okiem dostrzeże Pyłowe Księżyce Ziemi – obłoki kosmicznych drobiny, podobnie jak Księżyce obiegające Ziemię. Aby potwierdzić swoją obserwację, zabierze na rejs do Afryki nie wykwalifikowanych astronomów, ale obserwatorów amatorów. Nieskażonych rutyną i porwanych jego entuzjazmem.

**KATARZYNA KOBYLARCZYK**

jest już pewien: kształt trójkąta się zmienia! Nie bacząc na nakaz milczenia i głęboką ciszę, szepcze: „Ta gwiazda się rusza!!!”

Wszystkie lunety natychmiast kierują się w tamtą stronę. To musi być sputnik! Sztuczny satelita przez trzy minuty majestatycznie sunie po krakowskim niebie! I dziesięciolecie Leszek Korczyński dostrzegł go jako pierwszy...

Kiedy emocje opadną, okaże się, że to jednak nie był sputnik, a jedynie wydłużony, wirujący człon rakiety, która wyniosła go na orbitę. Sam satelita – zbyt mały i ciemny – przemknął nie-